

Oświecony „zdrowy” terror

24 sierpnia 2014

Data publikacji: 22.05.2007

Współcześni Wielcy Bracia mają coraz większą ochotę, by zabronić nam wszystkiego. Nam, zwykłym ludziom.

Nie mogę się oprzeć takiemu wrażeniu, gdy coraz częściej mam do czynienia z medialnymi nagonkami a to na palaczy papierosów, a to na osoby jedzące „niewłaściwe” potrawy, a to na małą aktywność fizyczną. Pouczeniom i zaleceniom nie ma końca, a ilość autorytetów w tych kwestiach stale rośnie.

Kolejne kraje wprowadzają zakazy palenia tytoniu w instytucjach publicznych – co jeszcze można zrozumieć – ale nie tylko w nich. W Irlandii i Szkocji obowiązuje całkowity zakaz palenia w miejscach publicznych, łącznie z takimi, które odwiedza się dobrowolnie i gdzie nikt chodzić nie musi, jeśli tylko dym papierosowy mu przeszkadza. Na korytarzu urzędu lub przystanku autobusowym musimy bywać, więc tam palący mogą przeszkadzać niepalącym. Ale już zakaz palenia w pubach, gdzie nikt bywać nie musi lub może wybrać taki lokal, którego właściciel chce zarabiać na klienteli niepalącej, uważam za stanowczo zbyt dużą ingerencję w ludzkie życie. Nad wprowadzeniem podobnych restrykcji zastanawia się Unia Europejska, ale i bez tego poszczególne kraje zamierzają wkrótce wprowadzić podobne regulacje prawne.

Wszystko jest na pozór logiczne. Papierosy szkodzą zdrowiu, w dodatku nie tylko ich miłośników, lecz również „biernych palaczy”. Liczba zgonów i chorób z tego powodu jest dość znaczna. Nie są też zbyt miłe dla otoczenia – przebywanie przez kilka godzin np. w mocno zadymionej knajpie nie należy do przyjemności, a ubrania po takiej wizycie nadają się wyłącznie do prania. Nie da się również ukryć, że koncerny tytoniowe posługują się wieloma wyrachowanymi sztuczkami, by

zachęcić do palenia. Nie mogę się jednak oprzeć wrażeniu, że temu nałogowi towarzyszy przesadne zainteresowanie ze strony różnorodnych moralistów i „regulatorów” życia społecznego. A papierosy, obok kilku innych używek czy sposobów spędzania czasu, stały się dyżurnym chłopcem do bicia, odwracając uwagę „świętoszków” od wielu, nierzadko bardziej dokuczliwych, zjawisk.

Jakoś mało kto martwi się o osoby, które każdego dnia w każdym mieście wdychają spaliny samochodowe i muszą przebywać w hałasie powodowanym przez setki aut. Miliony ludzi mieszkają tuż obok ruchliwych dróg, każdy skrawek miejskiej przestrzeni jest zajęty samochodami, na ich potrzeby wszędzie wylewa się beton i asfalt. Władze lokalne i państwowe oraz medialni eksperci przekonują nas, że synonimem rozwoju jest budowa nowych dróg i rosnąca sprzedaż samochodów. I jakoś nie przeszkadza im, że mnóstwo osób cierpi w efekcie rozwoju tego scenariusza – ginie w wypadkach, choruje wdychając spaliny, znosi hałas itd. I w dodatku prawie nigdy nie ma wyboru w tej kwestii. Mogę unikać zadymionych miejsc, lecz nie mam wpływu na to, że pod moim oknem przejeżdżają każdego dnia tysiące samochodów. Nie uniknę ich w niemal żadnym miejscu, które odwiedzę, a w większości z nich ruch motoryzacyjny wzmaga się z roku na rok. Polska jest krajem, gdzie coraz większym ostrzeżeniem na paczkach papierosów i planowanym zakazom wzorowanym na innych państwach, towarzyszy nie tylko obojętność na spaliny, ale wręcz zachęcanie do ich emisji. Ba, znam takie kuriozum, że w Gliwicach niemal pod oknami kliniki onkologicznej zamierza się wybudować trasę szybkiego ruchu. Proszę sobie wyobrazić sytuację, w której władze jakiegoś miasta np. zakazują ruchu samochodów, a za to oferują całkowicie darmową – za pieniądze zaoszczędzone na ciągłym budowaniu i remontowaniu dróg i parkingów, leczeniu ofiar wypadków itp. – komunikację miejską. Taki pomysł okrzyknięto by zamordyzmem i populizmem zarazem. Jednocześnie zaś wprowadza się zakazy palenia papierosów, a miliardy złotych wydaje lekką rączką na infrastrukturę drogową. I nie jest to

ani zamordyzm, ani populizm...

Takie tendencje przybierają postać coraz bardziej paranoiczną. W Anglii szefostwo publicznej służby zdrowia w hrabstwach Norfolk i Staffordshire ogłosiło, że pacjenci-palacze będą usuwani z list osób oczekujących na zabiegi chirurgiczne do czasu aż porzucą ten nałóg. Ten – nie waham się go tak nazwać – „zdrowotny faszyzm” próbuje się tłumaczyć wyższymi kosztami leczenia palaczy w porównaniu z niepalącymi. Można jednak zapytać równie dobrze o to, dlaczego w ogóle ze wspólnej kasy płacić za leczenie osób, które doznały urazów zajmując się niekoniecznymi (jak jazda na nartach) czy kretyńskimi (jak skoki na bungee) rozrywkami. Oczywiście, że palacze są grupą podwyższonego ryzyka w kwestii kilku schorzeń i jako tacy są bardziej „kosztowni” z punktu widzenia opieki medycznej. Ale jednocześnie istnieje przecież mnóstwo zachowań i postaw, które narażają na podobne ryzyko, jeśli chodzi o inne choroby czy urazy. Ciekawe kiedy „oszczędni” szefowie angielskiej służby zdrowia zaczną odmawiać leczenia osobom obciążonym genetycznie różnymi czynnikami zwiększającymi ryzyko zachorowalności – wszak tacy „podludzie” też generują wyższe koszty opieki medycznej niż zdrowa, jędurna i udana „rasa panów”...

Mniejsza o papierosy i samochody. Rozumiem, że te pierwsze szkodzą postronnym osobom i warto obronić „biernych palaczy” przed czymś, czego nie lubią. Choć naprawdę nie wiem, czy miejsca odwiedzane w pełni dobrowolnie, jak np. lokale gastronomiczne, powinny być traktowane w tej kwestii identycznie co te, w których bywa się z konieczności. Zamiast tego można by wymóc wyraźne oznakowanie restauracji, barów i pubów, w których się pali i nakazać tym „papierosowym” zainstalowanie porządnego systemu wentylacyjnego. Z kolei auta mają liczne zalety i daleki jestem od dziecinno-fanatycznej postawy części moich znajomych, którzy traktują samochody jako najgorsze nieszczęście trapiące ludzkość. Za samochodami – podobnie jak papierosami – nie przepadam, ale istnieje

wystarczająco wiele zalet motoryzacji indywidualnej oraz wad innych rodzajów transportu, by sporą część postulatów ekologiczno-antysamochodowych traktować z dystansem.

Jednak „ideologia zakazowa” zaczyna obejmować także takie postawy, w których nie ma mowy o szkodzeniu innym, lecz wyłącznie sobie. O ile „biernych palaczy” faktycznie należy chronić przed przymusem wdychania dymu tytoniowego, a nas wszystkich przed spalinami, o tyle zupełnie irracjonalna wydaje się nagonka na niektóre inne sfery życia. Na przykład w Nowym Jorku burmistrz wydał zakaz stosowania przez restauracje i producentów żywności na lokalny rynek (np. piekarnie) tzw. tłuszczów trans, jako niezdrowych. Zwracam uwagę, że nie chodzi tu o zakaz wydany przez instytucję dbającą o jakość produktów i zdrowie konsumentów (jak nasz sanepid czy któraś z państwowych agend określających, które składniki są bezpieczne), lecz o decyzję lokalnych władz. Wydaje się, że jest ona zwińczeniem innej obsesji, tym razem na punkcie „niezdrowego” odżywiania się. Od kilku lat stale jesteśmy bombardowani apelami, wywodami, wezwaniami i pouczeniami dotyczącymi tego, że żywność „szybka”, tania i masowa, jest niezdrowa. Rak, choroby serca, otyłość – tak, znamy to wszystko już na pamięć. Strach się bać.

Znów mam z tym problem. Bo z jednej strony wady „śmieciarskiego żarcia” są oczywiste. I te zdrowotne, i te dla szeroko pojętej „estetyki” życia, i te społeczne, i ekonomiczne, i ekologiczne. Ale jednocześnie nie mogę się oprzeć wrażeniu, że nagonka na fast foody czy ogólnie na niezdrowe, tłuste, słone czy słodkie potrawy, to kolejna wersja tej samej paranoi, co przy papierosach. Bo przecież dziś większość produktów spożywczych, także tych rzekomo zdrowych, jak owoce czy warzywa, jest „sztuczna”, coraz bardziej pozbawiona smaku, zapachu i wartości odżywczych, a wszystko to w świetle prawa czy wręcz za zachętą ze strony władz publicznych. Często jest tak, że te same instytucje, które krytykują np. McDonald’sa za tłuste hamburgery,

jednocześnie swoimi nakazami i zakazami wykańczają resztki tradycyjnych firm produkujących żywność na małą skalę, wysokiej jakości, tradycyjnymi metodami, bez nadmiaru chemii.

Jednak nawet nie o to chodzi. Jeszcze bardziej absurdałne wydaje mi się, że jakiś urzędnik ma prawo odmawiać dorosłym ludziom robienia ze swoim życiem – w tym przypadku z żołądkiem – tego, na co mają ochotę w tak elementarnej sferze jak odżywanie. Owszem, słuszne są takie ograniczenia, jak choćby zakaz reklamy skierowanej do dzieci, gdyż one nie muszą być świadome tego, że namawiane są na produkty mało wartościowe. Owszem, być może tak samo powinno być z „regulowaniem” oferty sklepików szkolnych. Być może w ogóle reklamy fast foodów powinny być obwarowane różnymi zasadami – jak np. zakaz prezentowania tej żywności jako w pełni wartościowej czy wręcz idealnej. Być może państwo powinno w ramach profilaktyki promować zdrowe i rozsądne odżywanie. Ale, do jasnej cholery, wolność człowieka to także wolność popełniania błędów i robienia głupstw, gdy nie szkodzą one innym. Jeśli ktoś lubi chipsy, colę, hamburgery i pizzę, to jego dobrym prawem jest obżerać się nimi choćby codziennie i mieć 30 kg nadwagi. Mamy prawo zarówno do dobrej, wysokojakościowej żywności i ochrony przed nieuczciwymi jej producentami, jak i do tego, by nie być na każdym kroku pouczanymi przez różnych mędrków, którzy ponoć wiedzą lepiej, jak powinniśmy żyć.

Cały ten problem ma bowiem jeszcze inny interesujący mnie wymiar. Jest nim swoista przemoc symboliczna i związane z nią panowanie nad zwykłymi ludźmi. Nietrudno zauważyć, że większość tych zakazowo-zdrowotnych poglądów jest dziełem elit – to one pouczają nas jak mamy żyć, co jest dobre a co złe, to im przeszkadzają papierosy i hamburgery, to one zalecają jogging i płatki śniadaniowe, liczą nam kalorie i przestrzegają przed takim strasznym przestępstwem, jak warstwa tłuszczu na brzuchu czy pośladkach. To wedle nich mamy być idealni – ludzie, którzy sami nurzają się w nieumiarkowanej, hedonistycznej konsumpcji, ciągle chcą nam czegoś zakazywać.

Czyżby „rasę panów” drażnił niedoskonały wygląd i zachowanie „podludzi”? Nie chodzi tu o dezawuowanie wszystkiego, co robią i wymyślają elity, ani o zachwycanie się każdym elementem stylu życia „prostego ludu”, bo elitom zdarza się proponować coś mądrego, a zwykłym ludziom robić głupstwa. Dobrze by jednak było, gdybyśmy mogli błądzić na własny rachunek – zwłaszcza w świecie, w którym owe elity coraz częściej, mówiąc wprost, wypinają się na resztę społeczeństwa, a swój rosnący egoizm maskują moralizatorskim głędzeniem i pouczeniem. Im mniej państwo faktycznie o nas dba i im bardziej ogranicza zakres i jakość usług publicznych, które oferuje swoim obywatelom, tym bardziej elity zajęte są tłumaczeniem, co jest „właściwe” a co karygodne...

Barbara Ehrenreich w książce „Za grosze. Pracować i (nie) przeżyć” bardzo trafnie pokazała, że dla członków niższych warstw społeczeństwa, poddanych przymusowi neoliberalnej pracy za niskie stawki i w atmosferze korporacyjnego terroru, takie czynności jak palenie papierosów są wyrazem symbolicznego oporu i jednym z niewielu dostępnych sposobów manifestowania swojej wolności czy po prostu robienia na złość tym przemądrzałcom „na górze” drabiny hierarchii społecznej. Oczywiście świat, w którym owe postawy muszą przybierać taką postać, jest absurdalny sam w sobie – jednak to nie likwidacja ostatnich enklaw swobody jest sposobem na polepszenie egzystencji i nadanie jej bardziej humanistycznego wymiaru.

Jeszcze trafniej niż Ehrenreich opisuje tę kwestię Jens Jessen w „Die Zeit”, w artykule pt. „Świat zakazów”. Zacytuję spory fragment tekstu, gdyż nie ma potrzeby udawać, że sam napisałbym to lepiej: „/.../ na liście »najbardziej niebezpiecznych« dla człowieka znalazły się alkohol, tytoń, psy, samochody, samoloty, gry komputerowe, telewizja i fast foody. Co ciekawe, »używki« te są rzekomo typowe dla konkretnych klas, grup społecznych, środowisk i grup wiekowych, co automatycznie czyni je groźnymi. Są to grupy społeczne, do których nie przemawia mieszczańska logika i

które nie stosują przykazań zielonych, by zachowywać się tak, by nie szkodzić środowisku naturalnemu. Właśnie ten klasowy charakter zagrożeń najbardziej śmieszy. Wszystkie wyżej wymienione rozkosze czasu wolnego, których rzekoma szkodliwość, zarówno w sensie medycznym, jak i ekologicznym, nie budzi wątpliwości prawodawców, odwołują się do stereotypowej wiedzy o życiu proletariusza. Opilstwo i kłęby dymu to codzienny obrazek z knajpy dla robotników. Psy i szybkie samochody to hobby klasy robotniczej. Loty na Majorkę, to wakacyjne rozkosze z życia proletariatu. Telewizja, gry wideo i fast foody – ogłupiają, powodują nadwagę i wywołują agresję. Jest jednak jedna kwestia, której politycy, działający – ma się rozumieć – dla dobra narodu, unikają jak ognia. Warto więc zapytać, czy nie jest to aby logiczny wybór ludzi, których pozbawiono szans zawodowego rozwoju i odebrano radość usprawiedliwionych ambicji. /.../ Reformy socjalne ostatnich lat i zmiany na rynku pracy systematycznie odbierały tym ludziom wszelką nadzieję: nadzieję na zatrudnienie, otrzymanie zasiłków, awans społeczny, wreszcie na uznanie i szacunek społeczeństwa. I co teraz? Mielibyśmy im odebrać te drobne przyjemności, które są jeszcze w zasięgu ich finansowych możliwości i niewątpliwie należą do zwyczajów ich grupy społecznej? „(...) sporo przemawia za tym, że elity nie chcą dopuścić do świata małych przyjemności starych lub nowych członków tych upośledzonych grup, które poprzez drobne przyjemności kompensują sobie swe żałosne położenie. Tak naprawdę chodzi tu o zupełnie inną kompensację, a mianowicie bezradność polityków wobec zjawiska globalizacji, ponieważ bezrobocie i społeczna marginalizacja są rezultatem właśnie globalnej konkurencji w gospodarce. Tymczasem politycy, działający w ramach jednej wspólnoty narodowej nie są w stanie ani jej kontrolować, ani jakkolwiek na nią wpływać. Oni nie potrafią nawet zamortyzować negatywnych skutków globalizacji poprzez skuteczną politykę społeczną. Jediną dziedziną, w której polityk może jeszcze udowodnić swoje umiejętności, jest wydawanie rozporządzeń w duchu pedagogiki społecznej. W tej dziedzinie niebezpieczeństwo wystraszenia płochołliwych

dysponentów kapitału jest niewielkie, a szansa na przekonanie klasy średniej, że »coś jednak robimy« spora."

A zatem, palacze, pożeracze hamburgerów oraz inni niesubordynowani rebelianci przeciwko zdrowemu, idealnemu i sterylnemu światu „rasy panów”, łączcie się! Ta trawestacja słów „Manifestu komunistycznego” jest oczywiście nieco ironiczna. Ale kto wie, czy „zdrowotny terror” nie rozkręci się na taką skalę, iż stanie się ona całkiem uprawniona i równie wywrotowa, jak półtora wieku temu były oryginalne słowa Marksa i Engelsa.

Autor: Remigiusz Okraska

Źródło: [„Obywatel”](#)